

Liczenie much

Przełożył Miłosz Waligórski

Jeśli wyrwać jej nogi, mucha biega w kółko jak szalona. Nie umie pogodzić się z tym, że utraciła zdolność latania. Skrzydła trzymane pod światło lśnią w palcach niczym cienkie witrażowe szkła. Jak w kościele. Ale on nigdy tak nie robił, nie on. Tylko ci z podwórka. Rwali skrzydła i rechotali, kiedy okaleczone, skołowane musze ciała miotały się na ich rękach. Klaus, Gerhard i Uwe.

Jak próbował im przeszkodzić, Klaus tak mu przyłożył, że aż się przewrócił.

„Czego, idioto?!”.

Do tego kopnął go jeszcze Uwe.

Obserwował ich przez okno. Biegali za piłką uszytą ze szmat i przekrzykiwali się przy tym jeden przez drugiego.

Czwartego lutego. Tydzień wcześniej skończył szesnaście lat.

Na zewnątrz szaleje fałszywa letowa wiosna. Świeci ciepłe słońce, ale wszędzie wokół zionie pustką. Tylko sucha trawa i drzewa bez liści. Paul patrzył przez okno zapaćkane muszymi odchodami. Między dwiema warstwami szyb leżały nieruchome ciała – wszystkie zeszłoroczne muchy pozdychały, a nowego pokolenia na razie ani śladu. Żadnego najcichszego choćby bzyknięcia na oknie.

Dlatego było mu smutno. Kłuło go w sercu. Liczył, ile ich jest. Dwie... trzy... dziesięć... dwanaście... piętnaście... Ciekawe, czy w tym roku wylęgnie się ich tyle samo – rozważał.

„Paul! Paul! Gdzie jesteś? Gdzie tam się znowu chowasz?!”.

Szesnaście... siedemnaście. Osiemnaście.

„Chcę ci coś pokazać!”.

Osiemnaście! Nie, dziewiętnaście!

Za ramię chwyciła go ręka babci: „Zobacz... to twoja mama!”.

Odwrócił głowę i wpatrzył się w podetknięty pod nos kolorowy magazyn. Zupełnie u góry było duże zbiorowe zdjęcie mniej więcej dwunastu aktorów ubranych w teatralne kostiumy. Na przedzie stał Wódz. Jedna z aktorek w eleganckiej barokowej sukni trzymała go po przyjacielsku za rękę, co zresztą nie budziło w nim zażenowania. Nawet delikatnie się uśmiechał.

„Mhm...Aha...” – powiedział Paul bez zainteresowania.

W rogu zdjęcia babcia wskazała palcem twarz kobiety, której prawie nie było widać – poza oczami i nosem – bo stała z tyłu. Jej rysy były rozmazane.

„Tu jest, tutaj! Rano dzwoniła z Berlina, żebyśmy kupili gazetę. Pozdrawia cię. Cieszysz się, Paul?”

„Mhm...”

„Zobacz, jest nawet jej nazwisko, tu po prawej. Co prawda nie Ethel, ale Maria... ale przecież to nieważne... Cudownie, prawda?”

Chciał już odwrócić się z powrotem do okna, kiedy nagle coś przykuło jego uwagę. Wyrwał babci pismo. Pogłaskała go po włosach, ucieszyło ją to niespodziewane zainteresowanie.

„No widzisz!”

Na wcześniejszej stronie na samym dole promieniało małe zdjęcie. Przedstawiało muchę w kilkakrotnym powiększeniu. Siedziała na kostce cukru. Pod spodem było napisane kursywą: *Ciekawostka*. Paul pożerał obrazek szeroko otwartymi oczami.

Bardzo powoli zaczął sylabizować tekst:

„Owady nie smakują pożywienia jedynie ustami czy kłujką – u całego szeregu gatunków narządy smaku umieszczone są na końcach nóg. Można się o tym przekonać, przeprowadzając proste doświadczenie. Muchę plecami przylepia się do parafiny umieszczonej na drewnianym patyczku. Kiedy jedną nóżkę zamoczy w roztworze cukru, od razu napręży kłujkę i zaczyna ssać, jeśli natomiast musza nóżka trafi do czystej wody, nie dochodzi do żadnej reakcji. U wielu gatunków owadów znajdujący się na końcach odnóży zmysł smaku jest niezwykle subtelnie rozwinięty...”

„To okropne! To naprawdę okropne, Paul!!!” – krzyczała babcia z kuchni. „Za karę przez cały dzień zostaniesz w domu! Zrozumiano?”

„Nie!!!”

„Robisz to specjalnie!” – zabrała mu czasopismo, ze złości cała poczerwieniała.

Ulica była pełna wracających z lekcji dzieci. Wrzeszczały, popychały się i gonily.

Paul chodził do szkoły jeszcze w Berlinie. Minęły niecałe dwa lata, zanim jego matka zrozumiała – trochę później niż gorliwi nauczyciele – że kiedy w pobliżu lampy pojawia się tłusta mięsówka albo na szybie przysiadła bąk, dla chłopca wszystko inne przestaje się liczyć. W przerwach między przylotami i odlotami tych istot zdążył się jednak nauczyć czytać, a nawet trochę pisać.

Rodzice byli z nim u doktora Stauffinga, profesora Horna, docenta Ottensterna i wielu innych, którzy stukali go po kolanach, zaglądali na dno oka, przyczepiali do różnych części jego ciała elektrody, karmili lekami o różnorodnych kolorach, a nawet kilka razy zatrzymywali go na obserwację w białych zakratowanych pokojach, tak białych, że aż bolały oczy. Później, któregoś dnia, kiedy było już tego za wiele, rodzice zapakowali go ze wszystkimi rzeczami do samochodu i odwieźli do babci do Ratzingen – do małego, schowanego u podnóża gór miasteczka na południu.

„Ra-tzin-gen” – czytał Paul na pomiętej kopercie, którą wymacał w tylnej kieszeni spodni. Miał w niej złożony list od ojca. Ojciec służył jako *Gruppenführer SS*, Paulowi bardzo podobał się jego mundur. List przyszedł krótko po Nowym Roku pocztą wojskową

z frontu wschodniego, opatrzony był dużą pieczętką Warschau i zawierał życzenia z okazji urodzin Paula. W wielu miejscach atrament się rozmył – zostało tylko kilka słów rozproszonych po powierzchni kartki. Trzy razy pojawił się wyraz „śnieg”, raz napisany wielką literą. Raz „niebawem” i raz „synku”. To wszystko. Nie widzieli się od ponad roku.

„Kiedyś człowiek był muchą. Dopiero później stał się człowiekiem” – koślawym piśmem zapisał w zeszycie Paul. Strony gęsto pokreślił szkicami much. Tutaj w okolicy było ich bardzo dużo. O wiele więcej niż w Berlinie. Zawsze, kiedy szedł ulicą, chowając którąś z nich w zwartej dłoni, dzieci śmiały się z niego. Popychały, raz nawet przewróciły go i pobity.

„Mucha, mucha, brudna mucha!” – krzyczały wtedy za nim dziewczyny i śmiały się.

Muchy wabił na odpadki i kawałki surowego mięsa. Albo na wodę z cukrem w płytkiej misce. Obydwa sposoby były tak samo dobre. Obserwował, jak liżąc sok. Przypatrywał się wielkim błyszczącym muszynom oczom, jakby poskładanym z małych kawałków mozaiki. I mocnemu językowi, którym wszystko obtapywały. Podobało mu się, jak nierówno chodzą, podziwiał ich błoniaste skrzydła i ich kolory. Niektóre ubarwieniem przypominały osy, były żółto-czarne i w bezruchu unosiły się w powietrzu jak helikoptery. Inne brzęczały głęboko, jakby gdzieś w środku miały zamontowany skomplikowany, ciężki mechanizm, były zazwyczaj szare i czarne i najchętniej siadały na mięsie. Wytrzymywały niekończące się loty wokół lamp.

Ulubioną porą roku Paula było lato. Najbardziej lubił zostać w stajni przy koniach. Tam było ich naprawdę dużo, i to z każdego gatunku. Metalicznie lśniącej mięsówki o zielonych i niebieskich ciałach siadały na końskiej skórze porośniętej króciutką brzową i czarną szczeciną. Konie opędały się od nich, napinając mięśnie i śmigając ogonem, głośno przy tym parskając. Mógł na nie patrzeć godzinami. Zazwyczaj przy tym cały umorusał się nawozem i kurzem.

Babcia często się za to na niego gniewała. Mówiła, że muchy trzeba zabijać wszędzie, gdzie człowiek na nie trafi, ponieważ przenoszą choroby. Kiedyś pracowała jako pielęgniarka i w nieskończoność wspominała przypadek z bakcyliami tyfusu w szpitalu. Muchy z pobliskiego pawilonu, które latały przez okno tam i z powrotem, przeniósł tyfus na oddział chorób kobiecych. Najpierw nikt nie chciał w to uwierzyć, ale lekarz na muszych nóżkach znalazł pod mikroskopem bakterie. I wszystko stało się jasne. Zachorowały tylko te kobiety, które leżały pod oknami wychodzącymi na tyfusowy pawilon.

Wszędzie w domu wisały łapki na muchy. Paul zawsze potajemnie próbował ocalić biedne unieruchomione stworzenia, ale najczęściej przy odlepianiu urywał im nogi albo niszczył skrzydła i tylko rzadko kiedy udawało mu się w całości oddzielić je od lepkiej taśmy. Wiedział, że musi się spieszyć, ponieważ od razu po usidleniu do ciała przenika silna trucizna, która zabija w kilka chwil.

Wcześniej rano przybiegła babcia z wiadomością przekazaną telefonicznie z Berlina. Zamknięto operę w Charlottenburgu, a zespół skierowano do fabryki Siemens. Matka Paula dowiedziała się o tym podczas próby *Nibelungów*, klęcząc przed niezłomnym Siegfriedem, który dostał lekkiego napadu hysterii.

Po południu zaskoczony Paul obserwował Klauza, Gerharda i Uwego, jak w mundurach maszerują w dół ulicy i śpiewają *Horst Wessel Lied*. Ledwo ich poznał. Uśmiechali się. Wyglądali jak dzieci, które bawią się w żołnierzy.

Pod wieczór w kościele odbyła się wielka msza za sukces armii niemieckiej na froncie wschodnim. Babcia wzięła go ze sobą. Rzadko kiedy tak robiła, ponieważ uwaga Paula była bardzo ulotna. I tym razem nie było inaczej.

Paul nieprzerwanie wodził wzrokiem za muchą latającą nad głowami modlących się ludzi. W powietrzu nasyconym kadzidłem robiła kręte linie, jakby kreśliła i przerysowywała wojskowe mapy. Bezustannie zmieniające się i przesuujące linie frontu. Kontury okopów i umocnień. Ruchome granice.

Oburzona babcia kręciła głowę i po cichu go upominała. Jedyńą osobą, która to zauważyła, był stary profesor Rosenberg. Siedział w rzędzie obok, w tawce po przekątnej i, spoglądając na tych dwoje, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Podszedł do nich, kiedy po wyjściu z kościoła schodzili kamiennymi schodami. Z szacunkiem uchylił kapelusza.

„Co u państwa słychać?”

„Günter jest w Polsce, czasem napisze, ale nie wygląda to tam najlepiej. Paul na razie jest ze mną, nie wiem, co będzie później. Naprawdę nie wiem. Chyba zabiorą go z powrotem do Berlina...”

Chłopiec wyrwał się babci i podniecony wskazywał gdzieś w powietrze.

„Aha! Proszę spojrzeć! Proszę spojrzeć!!!”

Profesor podążył wzrokiem za jego ręką. Mała kropka wykonała gwałtowny ruch i na kilka sekund zastygła w powietrzu, jej skrzydła szybko trzepotały.

„To bujanka większa, *Bombylius major*. Wygląda jak helikopter, prawda? Ciekawe, skąd tu się tak wcześniej wzięta? Chyba zwiódło ją słońce” – powiedział, łąpiąc muchę.

„Bujanka... większa...?” – powtarzał za nim Paul. – „Bujanka... większa!”

Profesor Rosenberg powoli rozłożył palce. Na jego dłoni leżało zdezorientowane stworzenie o beżowym ubarwieniu. Zanim zdążyło przyjść do siebie i odlecieć, profesor znów zamknął rękę. Wyciągnął z kieszeni pudełko od zapatek z napisem *Würzburg* i ostrożnie wsunął muchę do środka. Podrażniona brzęczała w swoim papierowym więzieniu. Paul szeroko otwierał oczy. Zupełnie zapomniał zamknąć usta.

„Jej larwy żywią się larwami pszczoł samotnic. Musisz mnie kiedyś odwiedzić! Mam taką jedną w swojej kolekcji. I jeszcze dużo innych!”

Babcia spochmurniała i złapała Paula za rękę. „Tylko będzie Panu przeszkadzać... No, my musimy już iść, chodź...! Paul! Paul! Słyszysz?!”. Ciągnęła go za sobą w dół schodów.

„Pierwsza wiosenna mucha podobno przynosi szczęście!” – machał za nimi profesor, kiedy znikali za rogiem.

Paul nie mógł wyjść z domu aż do wieczora. Łaził tylko po pokojach i nerwowo wyglądał na ulicę. Ale rano, kiedy babcia wyszła na zakupy, przez okno kuchenne wydostał się na zewnątrz.

Profesor Rosenberg mieszkał trzy przecznice dalej, obok jego domu wchodziło się do lasu. Paul zazwyczaj mijał to miejsce bez żadnego zainteresowania, siedemdziesięcioletni staruszek z siwą brodą, który nieobecny i zamysłony spacerował wte i wewte, stukając przy tym cienką laseczką, nigdy nie przyciągał jego uwagi. Chłopiec nawet nie przeczekał, czym zajmuje się ten człowiek nazywany „entomologiem”, co więcej, nigdy nie słyszał takiego słowa. Profesor przez całe życie wyładał na uniwersytecie Friedricha Wilhelma w Berlinie, a na stare lata wrócił do Ratzingen, miasta swojego dzieciństwa.

Bramka nieznośnie zaskrzypiała. Paul przeszedł po betonowym chodniku i wszedł do domu. Niezdecydowanie stał w chłodnym korytarzu i nie wiedział, w którym kierunku iść dalej. Skądś dobiegł głos:

„Pliniusz Starszy twierdzi, że muchy rodzą się z gąsienic. Te natomiast mają powstawać z rosy, która osadziła się na liściach i stwardniała pod wpływem słońca. Uwierzyłbyś w to?”.

Paul nadal tkwił w bezruchu na korytarzu i wzruszał ramionami. Sprawdzał, skąd dochodzi głos. Drzwi jednego z pokoiów wolno się uchyliły i odsłoniły odbicie profesora w dużym lustrze. W ręce trzymał laskę. Siedział w fotelu, a na kolanach trzymał książkę. Na nosie osadzone miał śmieszne, staromodne okulary.

„Napijesz się herbaty, prawda?”.

Paul wszedł pomału do pokoju.

Profesor nalał mu do filiżanki brązowożółtego płynu.

„W locie mucha macha skrzydłami z prędkością stu dziewięćdziesięciu uderzeń na sekundę. Ten bzyzcący dźwięk wywołują jej skrzydła”.

Wyciągnął z szuflady pudełko z napisem *Würzburg*. Otworzył je i wypuścił na stół bujanekę. Przez chwilę beztładnie miotała się po obrusie, próbując rozłożyć skrzydła.

Lampa rzuciła światło na ścianę, równocześnie wysświetlając na niej wielką czarną muchę. O wiele większą niż w rzeczywistości. Wzbiła się niezgrabnie i zaraz spadła na stół, znów się podniosła i przysiadła na lampie. Ogrzewała się w ciepłe żarówki na metalowym kloszu.

„Kiedy mucha ląduje na suficie, przednie nogi podnosi nad głowę. Potem zaczepia się o powierzchnię i przewraca ciało do góry spodem. Ale jak się utrzymuje na ścianie czy na szybie, tego na razie nikt nie wie. Naukowcy uważali, że muchy robią to tak, że na końcu odnóży mają małe haczyki, którymi zaczepiają się o drobne nierówności płaszczyzny. Albo że są tam jakieś poduszeczki, na tyle miękkie, że przylegają do podstawy – między nimi a, dajmy na to, szybą tworzy się podciśnienie i noga się przysysa. Tylko że później ustalono, że takie ciśnienie poduszczynek w ogóle nie jest możliwe i że muchy w ogóle nie mają na nogach żadnej lepkiej substancji, która ostatecznie wyjaśniałaby całą sprawę. Nic się nie da zrobić. Mucha przeczy podstawowemu prawu fizyki – prawu przyciągania ziemskiego. Dlaczego nie spada? To dopiero zagadka!”.

Profesor odsłonił laskę firankę i otworzył okno, muchę wziął delikatnie w palce i położył na parapecie. Paul bacznie obserwował, jak chodzi między drobnymi kryształkami cukru rozsypanymi wokół filiżanki z kawą.

„Kiedy mucha znajduje pożywienie w płynie, po prostu je wypija, a jeśli ma ono konsystencję stałą, najpierw je rozpuszcza specjalnymi sokami. Pluje na nie i rozkłada. Dopiero wtedy zabiera się do jedzenia. A spójrz na te nogi! Są porośnięte włoskami – pomagają musze wyczuć ruch i na czas uniknąć niebezpieczeństwa”.

Paul słuchał tego z zapartym tchem. Ręka profesora przysunęła się bardzo blisko muchy. Bujanka zebrała w sobie wszystkie siły, ruszyła swoim wielkim zadkiem, napięta skrzydła i w okamgnieniu wyleciała przez okno. I już jej nie było. Profesor zamknął okno.

Paul się zamyślił:

„Hm... No... A każda mucha ma imię?”.

Prawie tysiąc kilometrów dalej na prześcieradle pokrytym plamami z krwi i innych wydzielin ciała w połowym lazarecie niedaleko Szczecina leżał ojciec Paula. Lazaret, zorganizowany w opuszczonym hangarze, wybudowanym w tysiąc dziewięćset piętnastym dla zeppelinów, wypełniali teraz ludzie i okrutnie zimno. Przynajmniej tak to odczuwał ojciec Paula. Duża rana w brzuchu nieznośnie go paliła. Leżał pod wysokim sklepieniem, które po obu stronach wieńczyły wysokie, podłużne brudne tablice okien.

Znowu zbliżał się do niego ten doktor – doktor Kaltenbrenner, specjalista od chrząszczy tropikalnych z rodziny *Chrysochroa* – tak przedstawiał się każdemu, a wszystkie te słowa działały jak jedno bardzo długie imię. Na dodatek ciągle, wbrew niesprzyjającym okolicznościom, coraz bardziej dokuczliwemu brakowi leków i w ogóle wszystkiego, co miało związek z opatrywaniem ran, uśmierzaniem bólu, zbijaniem gorączki, amputowaniem kończyn i innymi podobnymi rzeczami, uparcie trwał przy swojej tożsamości. Został przydzielony do lazaretu, ponieważ lekarze, zresztą nie tylko oni, stawali się cenną rzadkością. Wierzył, że pewnego dnia wróci do swojego poprzedniego życia, do systemu o dokładnie wyznaczonych zasadach, ze sterylnymi narzędziami. Teraz jednak wychudły i wiecznie podenerwowany stał nad rannym mężczyzną, którego rana zaczynała cuchnąć i który syczał nieprzyjaźnie:

„Co to jest? Co to, na Boga, jest?!” – przerażony wpatrywał się w trzymane przez doktora naczynie, gdzie wierciły się małe białe stworzonka.

Kaltenbrenner nachylił się nad nim i podetknął mu pod nos miskę.

„Padlinówka cesarska, *Lucilia caesar*. A dokładniej mówiąc, jej larwy. Czyli, właśnie to, co Pan myśli!”. Niewzruszenie obserwował zza okularów, jak ta wiadomość wpłynie na żołnierza. Kiedy przeszedł językiem po wargach, czuł jeszcze gorzkawy smak ostatnich resztek morfiny w proszku, które odkrył w apteczce na dnie ampułki.

Wiedział, że imaga wabią silne zapachy kwiatów, ale przede wszystkim grzyby. Lśniące zielone muchy łąpał w lesie i na nasłonecznionych zboczach. Trzymał je pod szklanym kloszem, póki nie poskładały jajeczek na kawałkach starego sera i mięsa. Później w skupieniu zbierał larwy pęsetą.

Pielęgniarsce polecił, żeby odkryła ranę – jątrzyła się i powoli zaczynała ją toczyć gangrena.

„Nie! Nie!” – krzyczał mężczyzna i opędział się od rąk, które mocno trzymały go za nadgarstki. Doktor Kaltenbrenner znów się nad nim pochylał, i to tak blisko, że prawie dotykał go okularami. Spojrzenie miał niewzruszone.

„Jeśli chce Pan umrzeć, nic prostszego! Ale teraz proszę mi pozwolić przyłożyć je do rany, rozumiemy się?”.

Białe larwy mrowiły się i kłębiły.

„Ich rozwój trwa trzy dni. Nic Panu nie zrobią. Tylko wyjrzą całą obumarłą tkankę i bakterie. Jedynie w ten sposób możemy zatrzymać gnicie. Nic innego nie jesteśmy w stanie zaoferować. Niestety. Później może Pan spokojnie wstać, wyjść i dać się zastrzelić, mnie tam wszystko jedno. Jasne?”.

Ojciec Paula prawie niezauważalnie kiwnął głową i runął wyczerpany na poduszkę.

„Jedynie, co Pan poczuje, to nieznośne łaskotanie”.

Paul zaczął przynosić profesorowi muchy – ale potajemnie, tak, żeby babcia nie wiedziała, dokąd chodzi. Niektóre wytrząsnął z kulistych szklanych kloszów jeszcze poprzedniego lata, kiedy czyściła lampy – leżały tam martwe, zbierały się przez długi czas, przylatywały za światłem i potem nie umiały się wydostać. Przeciskały się tryumfalnie do źródła ciepła, do tajemnej kuli podobnej do słońca i na zawsze wpadały w sidła. Chował je w dużej cygarnicy.

Inne przynosił jeszcze żywe. W pudełkach albo po prostu w dłoni – łąpał je i biegł do profesora najszybciej, jak umiał. O każdej porze dnia i nocy. Często przerywał jego popołudniową siestę albo nad ranem wyrwał z głębokiego snu. Profesor każdą z nich opisywał, a Paul uczył się ich nazw na pamięć.

Teraz na próżno szukał profesora po całym domu już dobre pół godziny. Był we wszystkich pokojach i nic. W jednej chwili zarejestrował ruch gdzieś w suterenie. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym ostrożnie zszedł na dół po schodach.

Profesor siedział za stołem zastawionym buteleczkami i naczyniami, dużymi przeszklonymi pojemnikami z robakami i motylami ponabijanymi na cienkie czarne szpilki z tarczками. Ułożone były w rzędach, w ścisłym porządku, który rażąco kontrastował z chaosem rozmaitych narzędzi i potyskujących wkoło instrumentów. Wśród nich dominował duży czarny mikroskop z wytartym napisem *Karl Zeiss*. Na małym piecyku bulgotała woda.

„Chcesz wiedzieć, jak się przygotowuje muchy?” – spytał profesor na dzień dobry.

Paul podszedł bliżej. Przyglądał się wszystkiemu z niedowierzaniem.

„Możesz je przyklepać na tarczki i nabijać na szpilki”. Pokazał mu mszycówkę o wielkich oczach, ubarwieniem przypominającą osę.

„Ale można je też topić w żywicy czy w balsamie kanadyjskim, żeby ich nie uszkodzić – pokażę ci. Potrzebujesz do tego szklanej podkładki i przykrywkę. Ale jak pod mikroskopem chcesz wszystko dobrze zobaczyć, najpierw należy preparat prześwietlić. Roztwór prześwietlający przygotowuje się z dziesiątej części fenolu i jednej części wody. Właśnie rozpuszczam go w kąpieli wodnej”.

Paul wziął do ręki naczynie z chemikaliami, kryształy fenolu były bezbarwne i wydziały bardzo brzydki zapach. Potrząsnął nimi. Powąchał i skrzywił się z obrzydzeniem.

Profesor na chwilę zostawił preparat w roztworze fenolu, a później dokładnie przeemył go w alkoholu. Muchę położył na szkiełko w przygotowanej ramce, ostrożnie załat ją balsamem kanadyjskim i przykrył cieńszym szkiełkiem.

Kiedy wszystko porządnie wyschło, razem obejrzeli ją pod mikroskopem. Na początku Paul nie potrafił, patrząc jednym okiem, skupić się na jasnym okrągłym wycinku, ale w końcu mu się udało. Widział wszystkie szczegóły muszego ciała, najdrobniejsze włoski i wyrostki. Błoniaste skrzydła. Piękną ognistoczerwoną pierś. Był zafascynowany. Otwierał się przed nim niewidoczny świat.

„Dam ci ją. Chcesz?” – odezwał się profesor Rosenberg.

Paul z niedowierzaniem wziął do ręki preparat. Zachwycony przytaknął.

„To lwinka czerwonawa, *Clitellaria ephippium*. Tej tak łatwo nie znajdziesz, jej larwy rozwijają się w mrowisku”.

Chłopak nie był w stanie wypowiedzieć słowa, tylko się uśmiechał i wytrzeszczał oczy.

„Jedyny błąd polega na tym, że jeśli chcemy mieć je w zbiorach, musimy zabijać. No, ale pokaż, co masz w tym pudełku”.

Rodzice podpisali odpowiednie papiery. Ojciec zrobił to na froncie, w wojskowym lazarecie, zaciął zęby i więcej nie chciał o tym rozmawiać. Formularz dostarczono mu na miejsce. Mocno sfatygowany system nadal funkcjonował bez zarzutu. W decydującym momencie wywarło na nim presję. W dołączonym liście czytał:

„To przecież niemożliwe, żeby człowiek Pana pokroju przeczył metodom naukowym, umożliwiającym rozwiązanie biologiczne – prawo do odebrania życia, które nie ma żadnej życiowej wartości”.

W końcu we wskazanym miejscu nagryzmolił swój podpis. Był już tym wszystkim zmęczony. Zachowywał się tak zawsze, kiedy wypełniał rozkazy. Jego żona załamała się nerwowo przy taśmie w fabryce Siemens.

Kilka dni później wysuszony listonosz Krantz przyniósł babci decyzję Ministerstwa Zdrowia Rzeszy. Został jeszcze chwilę na kawie, ponarzekał na swój od lat nieleczo-ny reumatyzm i nadpobudliwe wnuki, które znowu połamały mu kwiaty w doniczkach, i poszedł dalej do pracy.

Białe auto z czerwonym krzyżem zatrzymało się przy płocie. Paul widział je z okna i przyglądał mu się z zainteresowaniem. Było duże i ładne.

Babcia szła z nim przez korytarz, w ręce trzymała walizkę, do której spakowała jego rzeczy. Na werandzie czekała już kobieta w bieli.

W oddali za nią przyjaźnie uśmiechał się kierowca karetki, stał przy drzwiach samochodu i palił. Poczęstował papierosem drugą kobietę, która dopiero co wysiadła, ale ta ruchem ręki odmówiła. Pokiwała do Paula i też się uśmiechnęła. To byli mili ludzie.

Pani w bieli weszła na werandę i pogłaskała Paula po głowie. Złapała go delikatnie za rękę. Skóra jej dłoni była miękka, włosy miała zupełnie jasne, a na twarzy świeciły czyste niebieskie oczy. Wyglądała jak anioł.

„To jest siostra Adeline...” – powiedziała mu babcia. „Pojedziecie razem na taką małą wycieczkę. Cieszysz się?”.

„A będą tam muchy?”.

„Przecież wiesz, że będą, aniołku!” – uśmiechnęła się Adeline i pogłaskała go po buzi. „Co tam masz?”.

Paul otworzył dłoń i patrzył na muchę zatopioną w balsamie kanadyjskim. Miała czerwono-czarne ciało, które mieniło się w świetle słońca. Od razu zaczęły działać przezroczyste kryształki fenolu, które profesor dodał do kąpieli wodnej. Wyraźny fetor albo zapach – jak kto woli. Paul nie wiedział, że to dokładnie ten sam fenol, który czeka już na niego za wysokim murem w białym zakratowanym pomieszczeniu – tak białym, że aż bolą oczy – i będzie mu wstrzyknięty prosto w serce. Profesor Marcus nawet nie zadał sobie trudu, żeby zostać trochę dłużej po pracy i poczekać na nowy okaz. Poszedł na rodzinną uroczystość, zostawiwszy podopiecznemu jedynie zwykłe, nabazgrane w pośpiechu ołówkiem polecenie: „Głowę proszę odłożyć!”.

„Piękny robaczek!” – powiedziała Adeline.

„To jest mucha!”.

Siostra wzięła od babci walizkę i prowadziła Paula za rękę do samochodu. Wolnym krokiem mijali trawnik. Kierowca karetki zgasił papierosa i otworzył drzwi. Mrugnął do Paula. Ten się odwrócił, babcia za nim machała. Uśmiechała się. Znowu rozłożył dłoń i, idąc, patrzył na swoją muchę. Była piękna. Spojrzał jeszcze raz za siebie.

Babcia się zdradziła. Po policzku ciekła jej łza. Szybko wytarła ją wierzchem dłoni. Siostra Adeline przyspieszyła kroku. Paul patrzył przez ramię. Po babcinej twarzy ciekły kolejne łzy, nijak nie mogła ich powstrzymać. Adeline ciągnęła go do auta i coraz mocniej trzymała za rękę. Prawie już biegła. Druga siostra ruszyła im naprzeciw. Z samochodu nagle wyszło jeszcze dwóch mężczyzn. Druga siostra złapała Paula za ręce i obie wlekły go do karetki. Podniósł krzyk i zaczął rozpaczliwie się miotać. Mężczyźni schwycili go za nogi, którymi kopał we wszystkie strony. Kierowca odpalił silnik.

Paul zaczął machać rękami. Najpierw tylko trochę, na ile pozwalało mu sztywne splećcie. Później coraz mocniej.

Wyrzucał z siebie słowa: „Bąk bydlęcy, po łacinie – *Tabanus bovinus* – ma duże oczy, występuje przede wszystkim na pastwiskach i terenach górskich od maja do sierpnia, jajeczka składa na roślinach wodnych, larwy żyją w bagnach i są mięsożerne. Pije końską i bydlęcą krew, jego ukąszenia są bolesne, do krwi wstrzykuje substancję, która zmniejsza krzepliwość krwi, niektóre gatunki bąków mogą przenosić pomór bydła, wąglika i tularemię...”.

Wyrwał się siostrze Adeline i machał coraz szybciej. Druga siostra w końcu też odpuściła, osłabiona gwałtownymi zamachami rąk. Jeden boleśnie trafił ją w nos. Z krzykiem upadła na trawę.

„Jusznica deszczowa – *Haematopota pluvialis* – żyje na brzegach wód od lipca do września, najczęściej występuje w sierpniu, larwy są mięsożerne, rozwijają się w bagnach, ma plamiste skrzydła, kąsa głównie przed deszczem zwierzęta stałocieplne i ludzi... Mucha domowa – *Musca domestica* – żyje w skupiskach ludzkich i wydaje największą pokoleń w roku, jajeczka rozwijają się w nawozie i rozkładających się odpadkach, latem rozwój trwa dwa tygodnie, może przenosić zarazki...”.

Wiedział, że jeśli będzie machać z częstotliwością stu dziewięćdziesięciu uderzeń na sekundę, polecą, na pewno polecą! Drgał rękami coraz szybciej i szybciej.

„Droszofila żółtawa – *Drosophilla confusa* – lubi składy owoców, soki albo wino, samiczka składa jajeczka na owocach i fermentujących płynach, szybko się rozwijają...! Zgniówka pokojowa – *Fannia canicularis* – jest szara, zamieszkuje skupiska ludzkie, lata często wokół lamp, jajeczka znosi na rozkładających się odpadkach, może przenosić choroby jelit...!”

Bardzo tego chciał. Szybciej, coraz szybciej!

„Ścierwica mięsówka – *Sarcophaga carnaria* – od marca do października w dużych ilościach pojawia się w mieszkaniach, zostawia żywe larwy na mięsie i rozkładających się substancjach pochodzenia organicznego...!”.

Jego ciało zaczęło się zmieniać. W okamgnieniu pokryło się drobnymi włoskami. Skóra biegnęła się i pomarszczyła. Z rąk zrobiły się duże błoniaste skrzydła.

„Plujka pospolita – *Calliphora vicina* – jest błyszcząca, niebieska, jajeczka znosi między innymi na odchodach, martwych ciałach zwierząt, mięsie i serach, dorosłe osobniki siadają często na roślinach selerowatych...”.

Jego krzyk przemienił się w bzyk. Zaczął bzyczyć. Najpierw cicho, przez zwinęte w dzióbek usta, później coraz głośniej. Paul się zmienił. Ludzie, którzy go trzymali za nogi, w przerażeniu wypuścili je z rąk, ponieważ poczuli, że dotykają cienkich czarnych owadzych odnóży. Wyśliznął im się.

Wzbił się.

Paul leciał wysoko do nieba. Wszystko zostawiał pod sobą – domy, ulice, pola, biały samochód, pielęgniarki, babcię, która nieprzytomnie upadła na chodnik... Dom profesora Rosenberga... Las...

Leciał łukiem w górę. Jak jusznica. Jak bąk. Jak ścierwica. Jak mszycówka. Leciał do słońca.

Kiedyś człowiek był muchą. Dopiero później stał się człowiekiem.

A teraz znowu stał się muchą.

„Romboid” 2009, nr 3.